



*Narodziny
odwagi*

CALDER

Mia Sheridan

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

Tytuł oryginału: Becoming Calder: A Sign of Love Novel #1

Tłumaczenie: Petra Carpenter

ISBN: 978-83-283-2027-7

Copyright © 2014 by Mia Sheridan. All Rights Reserved.

Permission by the author must be granted before any part of this book can be used for advertising purposes. This includes the right to reproduce, distribute, or transmit in any form or by any means.

Polish edition copyright © 2016 by Helion SA.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://septem.pl/user/opinie/calder>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: septem@septem.pl

WWW: <http://septem.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1.

Calder, lat dziesięć

Pojawiła się u nas we wtorek. Pamiętam to, bo podlewaliśmy fasolę, a fasolę podlewało się tylko w drugi dzień tygodnia. Białego dżipa usłyszałem, zanim go jeszcze zobaczyłem, a gdy uniosłem głowę, właśnie wyjeżdżał zza zakrętu i, wznosząc za sobą tuman pyłu, obrał kierunek na pole, na którym pracowaliśmy. Wytężyłem wzrok i zobaczyłem, że za kierownicą siedzi Hector Bias, a obok niego, na miejscu pasażera, jest ktoś z włosami w słomkowym kolorze. Przyłożyłem dłoń do czoła jak daszek i mrużąc oczy od jaskrawego, pustynnego słońca, starałem się lepiej dojrzeć wnętrze auta, ale odbłaski światła na szybie skutecznie mi to uniemożliwiały; dżip był zresztą jeszcze za daleko.

— Hector wrócił! — wykrzyknąłem.

— Ciszej, Calder — upomniała mnie mama. — Hector będzie zadowolony, widząc, jak ciężko pracujesz. — Zauważyłem jednak, że zanim wróciła do pracy, uśmiechnęła się na widok zbliżającego się auta. Przewróciłem oczami i za plecami pokazałem jej język, ale posłusznie nachyliłem się obok niej i wróciłem do serwowania fasolom należnych im kilku centymetrów wody, aby wyrosły wysokie, bujne, silne i zdołały wyżywić całą naszą stodwudziestkę.

Później już jej nie widziałem. Zamieszkała z Hectorem w głównej siedzibie. Była jego błogosławioną — wybranką, która będzie stać u jego boku, kiedy my, jego ludzie, zostaniemy powitani przez bogów na Polach Elizejskich, w najcudowniejszym raj u niebiosach.

Wszyscy jednak chcieliśmy ją zobaczyć. Każdy był ciekaw, kim jest kobieta, która — jak mówiła przepowiednia — wraz z Hectorem poprowadzi nas w zaświaty, gdy przyjdą wielkie powodzie i nastąpi koniec świata. Domyślałem się, że była czymś w rodzaju naszego biletu wstępu.

Wieści o tym, że Hector znalazł ją w trakcie jednej ze swoich pielgrzymek, dotarły do nas za sprawą Matki Miriam, jego pierwszej konkubiny. Ale sam Hector przebywał z dala od nas przez długi czas, prawie dwa lata, i zaglądał tu tylko jakieś dwa razy w miesiącu, żeby nadzorować edukację swej wybranki i zadbać o to, by była gotowa na przejęcie swoich obowiązków w ramach naszej rodziny. Miała do odegrania naprawdę ważną rolę.

Nic dziwnego, że dzień, w którym — jak nam powiedziano — mieliśmy wreszcie zostać sobie przedstawieni, był czymś szczególnym. Szybko przebraliśmy się z naszych brudnych, roboczych, lnianych ubrań — mężczyźni i chłopcy nosili spodnie przepasane sznurkiem, a dziewczęta i kobiety długie sukienki — w luźne koszule. Oczywiście latem w Arizonie było tak upalnie, że zwykle chodziłem bez koszuli i zawiązywałem na szyi pierwszy lepszy kawałek tkaniny, jaki wpadł mi w ręce, żeby podczas pracy móc ocierać pot z czoła. Ręcznie robione tkaniny gryzły, ale i tak wolałem to od słonego potu, który ściekał mi do oczu. Kilku innych chłopców zaczęło robić tak samo jak ja i zachowywać się, jakby to oni wpadli na ten pomysł, co w sumie mi nie przeszkadzało. W końcu nie był to przecież jakiś wiekopomny wynalazek.

Po założeniu czystych spodni i koszuli wybiegłem przez drzwi naszej małej, drewnianej, dwuizbowej chatki, słysząc za sobą głos mamy: — Tylko bądź na czas, Calder!

— Będę! — odrzyknąłem, a potem, pokaszując, pobiegłem slalomem między innymi chatkami. Wiedziałem, że mój głos miał chropawe, piskliwe brzmienie, a krzyczenie czasami powodowało ból krtani. Mama opowiadała, że kiedy miałem trzy lata, płakałem i płakałem przez długi czas, a to doprowadziło do jakiegoś urazu

gardła czy coś takiego. Powiedziała, że nie pamięta, co wywołało ten maraton płaczu, ale pewnego dnia stało się tak, jakbym postanowił, że już nigdy więcej nie będę smutny — i rzeczywiście tak było. Mama twierdzi, że smutek nie leży w mojej naturze. Pewnie to prawda, bo nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się martwił.

Zapukałem do tylnych drzwi chatki Xandra i otworzyła mi jego szesnastoletnia siostra, Sasha. Jej długie, brązowe włosy spływały miękką falą na plecy. Omiotłem ją spojrzeniem, a potem zadarłem głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. — Cześć, Sash — powiedziałem, unosząc brwi i próbując wyprostować się najbardziej, jak umiałem, żeby dorównać jej wzrostem.

Sasha przewróciła oczami i zerknęła przez ramię. — Xander! — zawołała. — Przyszedł twój mały przyjaciel.

— Mały? — zaperzyłem się urażony. — Wiedz, że w tym roku urosłem siedem centymetrów. Tata oznaczył to na ścianie.

Sasha zagryzła wargę i wyglądała tak, jakby próbowała się nie roześmiać. Wtedy pojawił się Xander, jak błyskawica śmignął obok niej i w przelocie chwycił mnie za ramię, zmuszając, bym pobiegł za nim.

— Co się dzieje?! — wysapałem, gdy biegliśmy gruntowymi drogami, o włos mijając starą Matkę Willę z jej ziołami, które usypane w pokaźny kopczyk ciągnęła za sobą na wózku.

Krzyknęła coś w naszą stronę, ale jak zwykle trudno było ją zrozumieć; pewnie dlatego, że brakowało jej strasznie wielu zębów. Domyślałem się, że na to chyba nie ma ziołowego lekarstwa.

Xander wreszcie się zatrzymał, a gdy go dopadłem, łupnąłem go w ramię. Roześmiał się, unikając kolejnego ciosu. — Ejże, zaraz będziesz chciał być dla mnie miłszy!

Rozejrzał się, potem konspiracyjnie pochylił i szepnął: — Zobacz, co podwędziłem. — Otworzył dłoń, na której leżały cztery idealne kostki cukru.

— Leśniczówka? — spytałem, także się rozglądając, a potem wyciągnąłem dłoń, gdy Xander ujął dwie kostki, by mi je podać.

Porwałem je, wpakowałem sobie do ust i rozgniotłem zębami, zamykając oczy i mrużąc z zadowoleniem, gdy słodycz wypełniła mi usta i rozlała się po języku.

Xander pociągnął mnie, żebym zszedł ze ścieżki, zatrzymał się, odwrócił i zmierzył mnie wzrokiem. Odpowiedziałem niemym pytaniem w oczach, bo nie chciałem gadać, mając usta pełne cukru. — Co?! — wymamrotałem wreszcie, wzruszając ramionami.

— Rany, Calder. Co z tobą? Rozumiesz w ogóle, co to znaczy *delektować się*? Kto wie, kiedy będziesz miał następną okazję, żeby skosztować cukru, a ty pochłaniasz obie kostki naraz, szast-prast i nie ma. Frajer. — A potem sprzedał mi taką sójkę, że zatoczyłem się do tyłu, próbując się nie roześmiać, by nie wypłuć cennego cukru.

Xander ujął jedną kostkę kciukiem i palcem wskazującym i delikatnie ją polizał, a potem odsunął od ust, żeby móc mówić. — Widzisz, Calder, jeśli masz coś naprawdę dobrego, musisz się starać, żeby starczyło na dłuugo — poinstruował mnie, przeciągając ostatnie słowo. Zanim jednak zdążył znów unieść kostkę do ust, dwa dzikie psy, które panoszyły się po naszej ziemi, przebiegły za jego plecami tak blisko, że zmusiły go do zejścia im z drogi, wtedy zaś Xander potknął się i upuścił cukier na ziemię. Ganiające się psy przebiegły po obu kostkach, wdeptując je w piach, a potem umknęły, szczekając.

Przez chwilę po prostu wpatrywałem się w cukier u naszych stóp, pokruszony i zmieszany z ziemią, a potem przeniósłem wzrok na zaskoczoną twarz Xandra i jego szeroko otwartą buzię.

Roześmiałem się tak głośno i gwałtownie, że musiałem zgiąć się wpół, żeby nie upaść.

Gdy znów spojrzałem na Xandra, wyraz niedowierzania na jego twarzy ustąpił niepewnemu uniesieniu kącika ust, a po chwili on także parsknął śmiechem i obaj zawyliśmy w promieniach jasnego, popołudniowego słońca.

Właśnie taki był mój przyjaciel Xander — potrafił się z siebie śmiać, co jak już zdążyłem się przekonać, było jedną z tych cech, nad którą większości dorosłych przydałoby się popracować.

— Chodź, cukrowa gębo — rzekł Xander, kierując się w stronę głównej siedziby, zamierzaliśmy bowiem znaleźć sobie w jej pobliżu miejsce, skąd będzie dobry widok na nową wybranke, którą wszyscy tak bardzo chcieli zobaczyć.

— Słyszałem, że ma twarz anioła i ciało bogini — powiedział Xander z nabożnym szacunkiem.

Pokiwałem głową. — Tak mówi przepowiednia.

— Założę się, że wygląda tak jak jedna z tych kobiet na rozdaniu Nagród Akademii Filmowej — próbował odgadnąć Xander, patrząc w niebo, jakby chciał przypomnieć sobie magazyn „People”, który podwędził kilka miesięcy wcześniej; ten sam, który kartkowaliśmy potem razem, ukryci za chatką Xandra; ten, w którym było mnóstwo zdjęć umalowanych kobiet ubranych w powłóczyste, kolorowe suknie i trzymających złote statuetki wyobrażające jakąś postać.

Wzruszyłem ramionami. — Nie, Hector nie ożeniłby się z kimś takim — powiedziałem. — Są zbyt... — przerwałem na chwilę, szukając właściwego określenia na to, czego jest w nich za dużo jak na naszą rodzinę — ...kolorowe — zadecydowałem. Choć na pewno były bardzo mądre, skoro jakaś akademia przyznała im taką wielką nagrodę.

Xander przewrócił oczami. — Jasne, wiem. To znaczy wyobraź sobie jedną z nich, z tą jej śliczną buzią, ubraną w coś, co nosi Matka Miriam.

Milczeliśmy obaj przez dobrą minutę. Wyobrażałem sobie starą, zasuszoną, chmurną Matkę Miriam i jej luźną, szarą sukienkę. Gdy spojrzałem na Xandra, z nietęgą miną wpatrywał się gdzieś w przestrzeń, domyśliłem się więc, że on także sobie ją wyobraził i to porównanie nie wypadło dla Matki Miriam korzystnie.

— Tak czy owak — rzekł, rozpogadzając się — za chwilę się przekonamy.

Słońce prażyło nasze głowy, gdy siedzieliśmy w kucki na ziemi przed zbudowaną z drewnianych bali ścianą głównej siedziby, w której mieszkała rada. Pomyśleliśmy sobie, że stąd będziemy mieli najlepszy

widok, gdy będą wychodzić z budynku w drodze do Świątyni, gdzie mieliśmy poznać wybrankę Hectora.

Xander podniósł patyk i zaczął dłubać w ziemi obok naszych obutych w sandały stóp. Po dłuższej chwili podniósł wzrok i szepnął: — Założę się, że udałoby mi się tam wślizgnąć i podwędzić kilka słodkich irysów. Widziałem przez okno. Stoją ich tam całe misy, jakby nigdy nic.

Obrzuciłem Xandra pełnym dezaprobaty spojrzeniem. — Grzechem byłoby okradać radę... i Hectora. To on zapewnia nam byt.

Xander utkwił wzrok w ziemi, w miejscu, gdzie wciąż kreślił patykiem jakieś wzory. — Po prostu zastanawiam się... dlaczego oni mogą jeść cukier, kiedy tylko zechcą, a my musimy... pożyczać go z leśniczówki?

Podniosłem leżący nieopodal patyk i też zacząłem rysować po piasku. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć na pytanie Xandra, siedziałem więc cicho. Postanowiłem też nie zwracać mu uwagi, że to już nie jest pożyczanie, jeśli nie ma się zamiaru czegoś zwrócić.

Xander należał do grupy pracowników, którzy dbali o bezpieczeństwo naszej wspólnoty, ale kiedy tylko mógł, zakradał się do leśniczówki znajdującej się przy drodze prowadzącej do parku narodowego, kilka kilometrów stąd. Znajdował tam najróżniejsze dobra, od kostek cukru po czasopisma; raz udało mu się podwędzić coca-cole. Wciąż myślałem i marzyłem o kolejnej puszcze słodkiego, pianistego napoju, który podawaliśmy sobie z rąk do rąk skryci za drzewami rosnącymi w pobliżu naszych pól uprawnych. Miałem szczęście, że Xander dzielił się ze mną wszystkim, co znalazł. Wiedziałem, że to niewłaściwe. Ale nie uważałem tego za aż taki grzech, byśmy musieli zostać w tyle, kiedy przyjdą bogowie mający zaprowadzić ludzi Hectora do Elizjum. Postanowiłem pracować trochę ciężiej, niż to konieczne, by odkupić drobne kradzieże, których często się z Xandrem dopuszczaliśmy.

— Gdy już zostanę wybrany na członka rady, zobaczę wielką społeczność i pójdę do pracy, będę trzymał całą *beczkę* irysów w swoim biurze — powiedziałem ze śmiechem. — A wtedy trochę ci przyniosę.

Xander roześmiał się. — Niedoczekanie twoje. Jeśli ktoś tu jest dość sprytny, żeby dostać się do rady, to jestem to ja.

Parsknąłem. — Jeśli to jest twój wielki plan, to lepiej, żebyśmy obaj trafili wkrótce do Elizjum, i mam nadzieję, że bogowie mają tam irysy.

Z rozmarzoną miną Xander oparł się o drewnianą ścianę za naszymi plecami. — Założę się, że Elizjum jest *zrobione* z irysów.

Po krótkim namyśle uznałem, że nie brzmi to najlepiej. Na początku może byłoby fajnie, ale po jakimś czasie pewnie miałbyś już dość tego czy tamtego zrobionego z irysowej masy... wszystko by się kleiło i człowiek na wieki utkwiłby w miejscu zrobionym z irysów, te wszystkie...

Głos paplającego jak katarynka Xandra wreszcie przedarł się do mojej świadomości i wróciłem do rysowania patykiem po piasku. — ...irysowe chmury, irysowe rośliny, irysowe domy, irysowe meble...

Nagle dotarło do nas coś, co zabrzmiało jak cichy, dziecięcy śmiech — jednocześnie spojrzeliśmy za siebie i w górę. Przez mgnienie oka dostrzegliśmy czyjaś wyglądającą przez okno, okoloną blond włosami głowę, która natychmiast zniknęła — zapewne było to dziecko któregoś z członków rady. Złowiłem wzrokiem zdumioną minę Xandra, gdy wtem usłyszeliśmy jakiś kobiecy głos wołający: „Kto tam jest?!”, a po chwili okno nad nami zatrzasnęło się z hukiem.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z Xandrem szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, a potem zerwaliśmy się i pogналиśmy przed siebie.

* * *

Duża, drewniana Świątynia była już pełna ludzi — dokładnie tak, jak się tego spodziewaliśmy. Jako pracownicy Xander i ja musieliśmy zająć miejsca z tyłu, złorzecząc na splot okoliczności, przez który przyłapano nas w pobliżu głównej siedziby. Nici z planowanego zerknięcia z bliska na księżniczkę jeszcze przed przyjściem do tłocznej ponad miarę Świątyni. Aby zobaczyć podwyższenie z przodu, na którym zasiadała rada i skąd wygłaszał kazania Hector, musieliśmy mocno wyciągać szyje.

W przeważającej części poszczególne grupy pracowników trzymały się w Świątyni razem: rolnicy i nosiciele wody, opiekunowie zwierząt oraz strażnicy (którzy troszczyli się o nasze bezpieczeństwo) stali po lewej stronie, zaś nauczyciele, tkacze, krawcy i budowniczowie stali po stronie prawej. Wszystkie grupy dbały o to, by nasza czterystuakrowa wspólnota była najedzona, bezpieczna, ubrana, wykształcona i miała dach nad głową.

Hector nazwał ją Akadią, co oznacza „miejsce dostatku”. I była to prawda, ponieważ mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy, może z wyjątkiem coca-coli. Jak sądziłem, nie była to jednak prawdziwa *potrzeba*; zresztą i tak nie wolno było mi o tym mówić.

Moja mama uśmiechnęła się do mnie, gdy spostrzegła, że wchodzę do Świątyni, i pomachała mi na przywitanie. Skinąłem głową na Xandra, który podszedł do swojej rodziny — stała kawalek dalej na prawo od naszej. Tata ustawił mnie przed sobą i objął tak, że jego dłonie były splecione na wysokości mojej klatki piersiowej; w ten sposób zajmowaliśmy najmniej miejsca, jak się tylko dało. Poczulem zapach mydła bijący ze skóry ojca i oparłem się o niego w poczuciu bezpieczeństwa. Zerknąłem na mamę, która w takiej samej pozycji jak my stała wraz z moją siostrą, Mayą. Maya urodziła się z jakimś defektem jednej nogi, więc choć należała do naszej wspólnoty i oczywiście pomagała w obowiązkach związanych z nawadnianiem upraw oraz dbała o to, by ludzie zawsze mieli dostęp do czystej, pitnej wody, ze względu na wrodzoną ułomność nie mogła wykonywać cięższych prac fizycznych. Zamiast tego asystowała kobietom,

które szyły ubrania i pościel, i... no cóż, nie byłem pewny, co jeszcze wymagało szycia. Pewnie gdybym się dobrze rozejrzał, dostrzegłbym wiele takich rzeczy, ale nieszczęśliwie się nad tym zastanawiałem. Maya była o rok starsza ode mnie, ale o wiele drobniejsza i bardziej dziecinna ze względu na coś, co nazywało się zespołem Downa. Rodzice wyjaśnili mi, że Maya urodziła się z dodatkowym chromosomem. Gdy na nią spojrzełam, rozpromieniła się w uśmiechu, marszcząc nos. Odparłem takim samym uśmiechem, wziąłem ją za rękę i ścisnąłem trzy razy. Ona zaś w odpowiedzi także ścisnęła moją dłoń trzy razy i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Kilka miesięcy wcześniej, gdy wychodziłem z domu, krzyknęła za mną: „Kocham cię, Calder!” na oczach wszystkich moich przyjaciół, którzy mieli z tego niezły ubaw. Wróciłem wtedy do niej i wytłumaczyłem, że jestem na to już trochę za dorosły, a zresztą ona także. Poprosiłem, żeby tak więcej nie mówiła. Maya bardzo posmutniała i z miejsca poczułem się winny, później powiedziałem jej więc, że nadal możemy tak mówić, ale w trochę bardziej zawalowany sposób. Od tamtej pory trzykrotne uściśnięcie dłoni oznaczało „kocham cię”. To był nasz sekretny sygnał.

Z Mayą było tak, jakby ten dodatkowy chromosom był przepelniony miłością. Tak pełny, że Maya po prostu nie potrafiła stłumić jej w sobie i miłość nieustannie znajdowała sobie jakieś krzykliwe ujście. Musiała się z niej jakoś wyrwać, w takiej czy innej postaci. Ale jak sądzę, jeśli się kogoś kocha, to przymyka się oko na wszystkie jego wady, nawet te najgłośniejsze.

Tłum ucichł, gdy drzwi za nami otworzyły się na oścież i Hector Bias zaczął z namaszczaniem przemierzać środkową alejkę, a w ślad za nim podążali członkowie rady. Hector był wysokim, potężnie wyglądającym mężczyzną, który zachowywał się, jak na przywódcę przystało. Miał długie, złociste włosy, które czasami związywał w kitkę z tyłu głowy. Jego jasne, krystalicznie błękitne oczy zdawały się patrzeć przez człowieka na wskroś. Te kilka razy, gdy zwracał się bezpośrednio do mnie, musiałem się zmuszać, by nie spuścić wzroku.

Było w tych oczach coś, co sprawiało, że człowiek czuł się niegodny — jakby nie zasługiwał na to, by długo patrzeć na coś tak pięknego.

Drzwi zamknęły się na głucho, a ja skrzywiłem się z rozczarowaniem. Czyżbyśmy jednak nie mieli dziś poznać jego nowej żony?

Patrzyłem, jak Hector zajmuje miejsce za kazalnica stojącą z przodu podium, zaś członkowie rady, wszyscy czterej, siadają za nim. Hector rozejrzał się dookoła z wyrazem twarzy, który sprawił, że aż napuszylem się z dumy. Poczulem, jak udziela się to także stojącemu za mną tacie. Któregoś dnia będę siedział na podium za Hectorem i zajmę miejsce jednego z członków rady. Miałem poczucie celu i misji.

Jakby w zwolnionym tempie Hector uniósł ręce i zagrzmiał: — Dostąpcie widoku błogosławionej. Mojej wybranki i waszej matki. Eden!

Dwóch członków rady wstało, przeszło z powrotem przez długą, środkową alejkę, a potem każdy z nich pociągnął jedno skrzydło drewnianych wierzei, odstępując na bok, gdy wejście stanęło otworem. W tłumie zapadła cisza jak makiem zasiał, wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy, mnie zaś ogarnęło uczucie, którego nie potrafię wyjaśnić — jakby mieszanina lęku i radości.

Wszystko zastygło w bezruchu.

Nagle do wnętrza wpadł podmuch wiatru niosący ze sobą wirujące suche liście, które przez chwilę tańczyły w przejściu, aż znieruchomiały na podłodze. W tej samej chwili dzwonki wiatrowe wiszące u wejścia do Świątyni zaczęły pobrzękiwać, jak gdyby cały świat aż dotąd wstrzymywał oddech. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, czemu wszyscy się tak przyglądają, i wtedy ją ujrzałem — małą dziewczynkę, nawet drobniejszą od Mai, która z przerażoną miną wolno szła główną alejką. Patrzyłem na nią szeroko otwartymi oczami. Miała na sobie białą, koronkową sukienkę — jak malutka panna młoda — a jej słomkowe włosy opadały na ramiona i plecy. Jej buzia... Serce podskoczyło mi w piersi na widok piękna tej drobnej twarzy. Miała pełne, różowe usta, które delikatnie drżały, gdy niespokojnie rozglądała się dookoła. Nagle jej wzrok padł na mnie,

a ja wstrzymałem oddech, gdy nasze spojrzenia spotkały się i zastygły na jedno zmrużenie jej oka, na chwilę mojego oniemiaenia. Z miejsca, w którym stałem, nie potrafiłem dostrzec koloru jej oczu, ale było w nich coś, co mnie oczarowało. A potem ona odwróciła wzrok i czar przysł. Odetchnąłem ciężko, gdy poszła alejką dalej i mogłem widzieć tylko jej drobne plecy.

Jakiś dziwny instynkt podpowiadał mi, by pobiec za nią i wziąć ją za rękę. Nagle uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam dłoń Mai i teraz zacisnąłem ją tak mocno, że siostra zerkała na mnie spod oka. Rozluźniłem palce i uśmiechnąłem się do niej przepaszająco, a potem znów odszukałem wzrokiem dziewczynkę, która stała już na podium obok Hectora.

— Moi umiłowani — rzekł Hector, patrząc na nas płomiennie i ponownie unosząc ręce — dziś mamy wielki dzień. Dziś jest dzień pełen chwały bogów. — Znów rozejrzał się po zgromadzonych. — Dziś jest dzień, w którym poznaliście Eden. — Położył dłonie na drobnych ramionach stojącej obok dziewczynki i stanął za nią.

Zmarszczyłem brwi w zamyśleniu i zerknąłem w górę, za siebie, na mojego ojca, a potem na matkę — oboje mieli wypisany na twarzach wyraz najczystszeo zadowolenia. Poszedłem więc w ich ślady i przybrałem skromny, akceptujący uśmiech, a potem odwróciłem się z powrotem w stronę Hectora oraz małej dziewczynki, błogosławionej... *Eden*. Najwyraźniej z całej naszej rodziny byłem jedynym, który uznał taki obrót zdarzeń za interesujący.

Hector mówił dalej. — Domyślał się, że możecie być zaskoczeni tym, jak drobną i młodą istotą jest wasza matka. Ja także byłem, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy i dostrzegłem znak — odwrócił Eden, która szeroko otwartymi oczami rozglądała się po Świątyni, i skierował ją na krzesło usytuowane pośrodku rzędu siedzeń rady. Usiadła sztywno, dłonie mocno zacisnęła na udach — domyślałem się, że lekko drżały, choć z miejsca, w którym stałem, trudno było to dostrzec — a koronkowa suknia spłynęła falą na podłogę.

Gdy Hector odwrócił się w naszą stronę i podjął przerwana mowę, z trudem oderwałem wzrok od Eden. Hector wrócił na swoje miejsce za kazalnicą. Wyglądał na zamyślonego. — Niezbadane są wyroki bogów, nie zawsze dane jest nam je przewidzieć i łatwo pojąć. A jednak mądrość bogów nie zna granic, prawda to?

— Tak, Ojciec — odrzekliśmy chórem.

Hector pokiwał głową i swobodnie pochylił się nad kazalnicą, opierając o nią przedramiona i splatając palce. — Tak, mądrość bogów jest niezmierna, tak jak niezmierna jest ich szczodrość. W dniu, w którym ujrzałem Eden i dostrzegłem na jej ramieniu znak, który według przepowiedni ma nosić błogosławiona — symbol idealnej harmonii i równowagi — powróciłem do domu, w którym przebywałem, i zacząłem się modlić. *Jak to możliwe?* Jak to się stało, że błogosławiona, moja wybranka, moja żona, ta, która poprowadzi nas do Elizjum, jest zaledwie *dzieckiem*? Moi umiłowani, stawiałem sobie te same pytania, jakie, jestem pewien, sami sobie zadajecie.

Hector łagodnie wznosił ręce, a potem ku naszemu zaskoczeniu gwałtownie uderzył nimi o kazalnicę. Podniesionym głosem podjął przemowę. — Tej nocy modliłem się do bogów. Proszę, poprowadźcie mnie! Nie zawiedźcie moich ludzi! Umiłowanych stanowiących istotę mojego istnienia! — lekko spuścił głowę, jakby przytłoczony nadmiarem uczuć. A gdy ponownie ją unosił, jego oczy błyszczały.

— Płakałem i modliłem się całą noc. Aż wreszcie... *wreszcie*, wczesnym świtem bogowie przemówili do mnie szeptem. — Hector rozejrzał się po wnętrzu, a ja wstrzymałem oddech w oczekiwaniu na to, cóż takiego rzekli mu bogowie. To musiało być dobre.

— „Ona jest wybranką”, powiedzieli. „Jej imię brzmi Eden — i to *ona jest wybranką*”.

Zawiesił głos i ponownie omiół wzrokiem zgromadzonych, po czym odwrócił się i jedną ręką wskazał Eden, jakby chciał ją nam przedstawić po raz kolejny, nim wróci do przerwanej mowy.

— I tak oto Eden zamieszkała wśród nas, osierocone dziecko, które nie miało na świecie nikogo. A gdy osiągnie wiek lat osiemnastu, stanie się moją umiłowaną, moją jedyną małżonką. I tak jak rzecz przepowiednia, będziemy żyć ze sobą jako mąż i żona przez dwa miesiące i sześć dni, potem zaś przyjdzie wielka powódź, która zaleje ziemię, wszystkich ludzi i zwierzęta, my zaś, wybrańcy bogów, zostaniemy poprowadzeni do rajskich pól Elizjum, gdzie nie ma ani bólu, ani cierpień, ani żadnych, *żadnych* łez.

Przeszył mnie dreszcz, jak zawsze, gdy Hector mówił o wielkiej powodzi i naszej podróży do Elizjum. Tylko teraz znaleźliśmy już czas i *wiedzieliśmy*, że do wielkiej powodzi zostały jeszcze całe lata — bo Eden mogła mieć ich najwyżej osiem... może nawet siedem. Była taka drobniutka. Poczulem, jak ramiona opadają mi z ulgą.

— Eden będzie zasiadać na swym honorowym miejscu podczas każdego spotkania w Świątyni i będzie traktowana z czcią i miłością. Proszę, powitajcie ją z należnym oddaniem.

Wszyscy padliśmy na kolana i pochyliliśmy głowy, jedynie Maya, która nie mogła ugiąć jednej nogi, przycupnęła na udzie naszej matki. Klęczeliśmy tak przez kilka minut, aż Hector rzekł: „Powstańcie”, co też uczyniliśmy. Zerknąłem na Eden, która rozglądała się dookoła i przyglądała nam wszystkim z zaciekawionym wyrazem twarzy.

Zastanawiałem się, jak było tam, skąd przyszła. Ciekaw byłem, czy miała jakiś dom, czy może mieszkanie. I czy mogła jeść kostki cukru i pić coca-colę. Bardzo chciałem móc z nią porozmawiać i zadać najróżniejsze pytania. Ale to oczywiście nie wchodziło w rachubę.

To, że Hector znów zaczął przemawiać, uświadomiłem sobie dopiero po chwili, bo moje myśli zdryfowały w kierunku kostek cukru i coca-coli. — Jakby obecność Eden nie była dostateczną niespodzianką, pozwólcie, że w tym wyjątkowym dniu zaskoczę was czymś jeszcze — przerwał na chwilę. — Podczas moich podróży spotkałem także Teresę. Tereso, umiłowana, czy zechciałabyś tutaj podejść?

Szczupła kobieta o brązowych włosach i zapadniętych policzkach podniosła się ze swojego miejsca i zaczęła iść w stronę Hectora, który wydawał się nawet większy i potężniejszy, niż był w istocie. Teresa dołączyła do niego i rozejrzała się wokół, jakby zawstydzona, aż wreszcie skłoniła głowę i zaczęła wpatrywać się w podłogę.

— Zanim się tutaj znalazła, Teresa wiodła żałosny żywot — rzekł Hector, potrząsając głową z wyrazem dojmującego żalu. — Znalazłem ją w bocznej uliczce, oferującą grzeszne usługi seksualne za pieniądze. — Zdawało się, że Teresa skurczyła się jeszcze bardziej, gdy kilkoro ludzi chrząknęło z dezaprobatą, a inni wzdychali i kręcili głowami. — Od szesnastego roku życia prostytutuowała się, by zdobyć pieniądze na narkotyki. Teraz ma trzydzieści sześć lat.

Hector, górujący nad kobietą wzrostem, stanął za nią i ojcowskim gestem oparł dłoń na jej kościstym ramieniu. Po chwili puścił ją i odszedł na bok podestu, gdzie na małych podwyższeniach stało kilka wazonów z kwiatami. Uważnie wybrał z jednego z bukietów piękną białą lilię i podszedł z nią do Teresy.

Powędrowałem wzrokiem do Eden, która śledziła każdy ruch Hectora. Nadal sztywno trzymała dłonie na udach, ale zdawało się, że nie drży już tak jak przed chwilą.

Hector stanął przed nami, chłonąc wzrokiem doskonałość lilii, zanim ostrożnie uniósł kwiat do nosa i głęboko zaciągnął się zapachem. Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

Stał tak przez dobrych kilka chwil, aż wreszcie na powrót otworzył oczy i podszedł do Jeffreya Parkera, który siedział w pierwszym rzędzie, podał mu kwiat i skinął głową. Jeffrey odpowiedział skinieniem, a potem podał lilię kolejnemu mężczyźnie, stojącemu za nim.

Wszyscy w ciszy obserwowaliśmy, jak lilia wędruje po całej Świątyni, podawana sobie przez mężczyzn z rąk do rąk, aż wreszcie trafiła do Borisa Friedmana w pierwszym rzędzie, skąd ponownie odebrał ją Hector.

Hector spojrział na lilię ze smutkiem. Kwiat był wygięty i podniszczony, jeden z płatków zwisał bezwładnie, jakby mógł odpaść

w każdej chwili — rzeczywiście, aż przykro było patrzeć. Hector uniósł lilię do nosa, powąchał, a potem skrzywił się z niesmakiem, jakby cały jej słodki zapach gdzieś uleciał.

Spojrzał znacząco na Teresę, a potem z powrotem na kwiat. — Kto pragnąłby teraz tej lilii? — spytał, zniżając głos. — *Kto* mógłby pokochać wykorzystany, podawany z rąk do rąk kwiat, taki jak ten? — cisnął lilię na podest przed sobą i pytająco spojrział na zgromadzonych.

Po policzku Teresy spłynęła samotna łza, a kobieta zagryzła usta i znów wbiła wzrok w podłogę.

Choć miałem dziesięć lat, rozumiałem sens tej metafory. Wiedziałem, że to Teresa była tą wykorzystaną lilią, i ona także o tym wiedziała. A nikt na całej zielonej ziemi tak *naprawdę* nie chce być wykorzystaną lilią, choć zachowanie niektórych może temu przeczyć — a przynajmniej tak wyjaśniła mi to mama, gdy po raz pierwszy ją o to zapytałem.

— KTO MÓGŁBY CHCIEĆ TAKI KWIAT? KTO MÓGŁBY ODNALEŹĆ JAKIEKOLWIEK PIĘKNO W CZYMŚ TAK BRUDNYM I PLUGAWYM? — zagrzmiał Hector, rozsiewając z ust drobinki śliny, gdy wpatrywaliśmy się w niego jak skamieniały, oczarowani mocą jego słów.

Teresa załkała cicho. Ale ja byłem już wcześniej świadkiem takich samych wystąpień i choć jak zawsze, tak i teraz wywarło ono na mnie wielkie wrażenie, po prostu czekałem, tak jak cała reszta.

— Kto? — spytał Hector znacznie ciszej. — *Kto*?

To była dla nas wskazówka. — Ty możesz, Ojcze! I my możemy, Ojcze! — odparliśmy z radością.

Teresa uniosła głowę i kompletnie zaskoczona zaczęła rozglądać się wokół; wreszcie z otwartymi ustami spojrziała na Hectora, który zmierzał w jej stronę.

— Właśnie tak, moja umiłowana. *Ja* mogę. *My* możemy. Możemy cię pokochać, nasz kwiecie, naszą miłością stworzyć na nowo, dać *rodzinę*, dać *cel*, dać *poczucie przynależności* — wtedy zza pleców

wyciągnął lilię, tak doskonałą jak ta, którą za pierwszym razem wyjął z wazonu. Nową, świeżą i bardzo piękną.

Uwielbiałem ten moment i za każdym razem czułem ciarki przebiegające mi po plecach. To było jak nagły zwrot akcji w opowieści, gdy serce skacze ci z radości i od razu chcesz się tym z kimś podzielić. Tylko, że gdy Hector przyprawdzał nowych ludzi na podium, ten zwrot akcji stawał się częścią ich życia — i to był dobry zwrot, a oni zazwyczaj płakali i opowiadali potem o nim bez końca.

Oczywiście.

Teresa z trudem łapała powietrze i widać było, że czuje się tak samo, a jej łzy pośród tłumionych szlochów płynęły coraz gęściej. Hector objął ją, przycisnął do piersi i zaczął powtarzać: — Ja mogę, my możemy, ja mogę, moja umiłowana.

Hector zwrócił się ku zgromadzeniu i wyłowił mnie wzrokiem z tłumu, co jak wiedziałem, było sygnałem do przyniesienia wody.

Tata uwolnił mnie z objęć i podszedłem do marmurowej kropielnicy stojącej na tyłach Świątyni. Napełniłem niewielkie naczynie stojące obok niej, a potem pomaszzerowałem środkową alejką do Hectora.

— Mój posłańcu wody — rzekł Hector, uśmiechając się do mnie. Odpowiedziałem dumnym uśmiechem, podałem mu naczynie i stanąłem z boku ze schyloną głową i złożonymi dłońmi.

Gdy Hector podawał Teresie łyk oczyszczającej wody, trzymałem głowę pochyloną, ale kątem oka zerkąłem na siedzącą po mojej prawej stronie Eden, potajemnie starając się jej lepiej przyjrzeć. Kiedy wreszcie nasze spojrzenia się spotkały, patrzyła na mnie bez zmużenia oczu. Odwróciłem wzrok, ale nie potrafiłem zapanować nad ustami, które wygięły się w łagodnym uśmiechu, a gdy odważyłem się ponownie na nią spojrzeć, ona także bardzo subtelnie, nieśmiało się uśmiechała.

Rozdział 1.

Zmusiłem się do pochylenia głowy, bo Hector uściskał Teresę, a następnie oddał mi puste naczynie. Potem zaś odprawił ją prostym gestem dłoni, a rozpromieniona kobieta, ocierając łzy z policzków, wróciła na swoje miejsce w audytorium.

W ten sposób Teresa odrodziła się na nowo i dołączyła do naszej wspólnoty, tak jak wiele osób przed nią. A choć Maya i ja urodziliśmy się już w tej wspólnocie, moja matka mówiła, że jest coś szczególnego w tych, którzy wybierają ją z własnej woli.

Mówiła, że bogowie zesłali im Hectora, ale to wyłącznie od nich zależało, czy za nim podążą.

Wróciłem do swojej rodziny, potem zaś wszyscy w ciszy opuściliśmy Świątynię, by przystąpić do przygotowywania wieczornego posiłku. Idąc w ślad za rodzicami, co rusz odwracałem się, a choć inni ludzie zasłaniali mi widok, kilka razy udało mi się uchwycić spojrzenie Eden. Zastanawiałem się, czy to możliwe, by patrzyła na mnie, jak wychodzę.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Nie bój się spełniać marzeń!

Kiedy dziesięcioletni Calder pierwszy raz zobaczył ośmioletnią Eden, nie przeczuwał, że ich losy na zawsze splecie niewidzialna nić. Ale z pewnością wiedział, że jego uczucia nie zyskają aprobaty społeczności, w której przyszło mu żyć. Jako syn członków apokaliptycznej sekty o surowych zasadach moralnych nie powinien nawet marzyć o dziewczynce, która... miała zostać żoną przywódcy tej sekty. Sęk w tym, że ani Calder, ani Eden nie mogą tak po prostu zrezygnować z marzeń. Odważny chłopak i zdeterminowana dziewczyna postanawiają walczyć o własną godność, o prawo do decydowania o swoim życiu, wreszcie o swoją miłość.

Wyrusz z nimi w tę podróż, zobacz, jak próbują odnaleźć własne miejsce w świecie i nadać życiu nowy sens.

Calder. Narodziny odwagi to opowieść o walce dobra ze złem, o strachu i męstwie oraz o ponadczasowej prawdzie, że światło miłości potrafi rozświetlić największe mroki...

Mia Sheridan — autorka wielu bestsellerów „New York Timesa”, „USA Today” i „Wall Street Journal”, takich jak *Archer's Voice*, *Stinger*, *Żądło namiętności* i *Finding Eden*. Uwielbia snuć opowieści o prawdziwej miłości i o ludziach, którzy są sobie przeznaczeni. Mieszka z mężem w Cincinnati w stanie Ohio. Więcej informacji znajdziesz pod adresami: www.miasheridan.com i www.facebook.com/miasheridanauthor.

Nr katalogowy: 43702



septem
septem.pl

Helion SA
ul. Kosciuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: septem@septem.pl
<http://septem.pl>

ISBN 978-83-283-2027-7



9 788328 320277

cena 39,90 zł